

NOWE STARE OPOWIEŚCI

Trudno powiedzieć, że dyrekcja Opery Śląskiej podjęła ryzyko, zapraszając Roberta Bondarę do realizacji pierwszej po długiej przerwie premiery baletowej, ale dla zespołu było to jednak duże wyzwanie

8 Katarzyna Gardzina-Kubała \ Ten sezon bez wątpienia należał do Roberta Bondary. Nie tylko na scenach Warszawy i Bytomia przygotował nowe wersje choreograficzne XX-wiecznych baletów (*Świtezianka*, *Szeherezada* i *Medea*), lecz także z ogromnym sukcesem zainscenizował operę *Legenda Bałtyku* w Teatrze Wielkim w Poznaniu. Jakby dla przypieczętowania tych osiągnięć w maju został laureatem jednej z trzech głównych nagród wielostopniowego II Konkursu Młodych Choreografów Klasycznych i Neoklasycznych w Bordeaux – Prix de Biarritz. Warto też wspomnieć o mało nagłośnionym fakcie, że niemal rok temu choreografię Roberta Bondary *Take me with you*, stworzoną na warsztaty choreograficzne Kreacje Polskiego Baletu Narodowego, włączyła do swojego repertuaru Melissa Hamilton, solistka Royal Ballet, która występowała gościnnie w warszawskim *Jeziorze łabędzim*. Duet Bondary tańczyła w lipcu ubiegłego roku wraz z Roberto Bolle – jednym z najwybitniejszych i jednocześnie najpopularniejszych tancerzy klasycznych naszych czasów, podczas letnich koncertów plenerowych „Gala Roberto Bolle and Friends” we Florencji, Rzymie, Spoleto, Weronie i Santa Margherita di Pula. Także w wykonaniu warszawskich tancerzy *Take me with you* było prezentowane podczas kilku międzynarodowych gal baletowych.

Robert Bondara wyrasta na czołowego polskiego choreografa młodego pokolenia, choć warto zdać sobie sprawę, że autorskie balety tworzy już od dziesięciu lat. W roku 2008 bowiem zdobył drugą nagrodę (pierwszej nie przyznano) oraz nagrodę specjalną Towarzystwa im. Witolda Lutosławskiego w Ogólnopolskim Konkursie Choreograficznym im. Bronisławy

Niżyńskiej w Warszawie. Skwapliwie korzystał później z każdej edycji warsztatów choreograficznych w Polskim Baletcie Narodowym, aby doskonalić i rozwijać język tańca, szukać swojej drogi, poszukiwać tanecznych, ale i scenicznych środków wyrazu – operowania światłem, scenografią czy projekcjami. Szanse na tworzenie większych spektakli otrzymał w roku 2011 jednocześnie w macierzystym Polskim Baletcie Narodowym (*Persona*) i w Operze Nova w Bydgoszczy, gdzie przygotował *Zniewolony umysł* z muzyką Philipa Glassa i Wojciecha Kilara, inspirowany esejem Czesława Miłosza. Kolejne choreografie zrealizował na zaproszenie zespołów w Wilnie, Wrocławiu, Waszyngtonie, ponownie w Bydgoszczy i Warszawie oraz w Kielcach.

Biorąc to wszystko pod uwagę, trudno powiedzieć, że dyrekcja Opery Śląskiej podjęła ryzyko, zapraszając właśnie Roberta Bondarę do realizacji pierwszej po długiej przerwie premiery baletowej w tym teatrze. Z drugiej strony, dla zespołu w Bytomiu, który od lat wykonywał głównie wstawki baletowe w spektaklach operowych i operetkowych oraz przedstawienia dla najmłodszych, spotkanie z nowatorskim i nieuznającym kompromisów artystycznych choreografem mogło stanowić wyzwanie. I zapewne tak było, ale efekt przerósł, jak sądzę, nie tylko moje oczekiwania. Wieczór złożony z dwóch baletów, choćby i fabularnych, nie jest łatwą formą. W Bytomiu zarówno *Szeherezada* do muzyki Nikołaja Rimskiego-Korsakowa, jak i *Medea* z muzyką Samuela Barbera otrzymały od choreografa i, co ważne – reżysera spektaklu w jednej osobie – nowe oblicza, nie tylko ze względu na nowoczesną scenografię i kostiumy, ale przede wszystkim ze względu na sposób myślenia o tych utworach i ich bohaterkach.

Oba odwołują się do opowieści znanych, obecnych w kulturze europejskiej od wieków, przetwarzanych przez artystów z różnych dziedzin sztuki. Oba niosą uniwersalne przesłania i zarysowują międzyludzkie konflikty, które pozostają aktualne i nierozwiązywalne. Tam, gdzie *Szeherazada*, wystawiana na przełomie XIX i XX wieku przez Balety Rosyjskie Diagilewa zachwycała i szokowała orientalnym rozbuchaniem, śmiałym kostiumem i widoczną erotyką, Bondara znalazł opowieść o samotności, niezrozumieniu, brutalności i rozpadzie związku. Nie odchodząc daleko od kanwy oryginalnego libretta, opowiedział historię z życia wziętą. Czy chętniej lub przyjemniej oglądałoby się publiczności sceny z seraju, w którym żona szacha Szahrijara Zobeida romansowała ze Złotym Niewolnikiem? Być może, ale po spektaklu Roberta Bondary nie zadajemy już sobie tego pytania. Bo *Szeherazada* bytomska anno Domini 2018 jest mądra, dobrze skonstruowana, ciekawa i do głębi poruszająca. Zamiast szacha mamy tu bogatego mężczyznę Szahrijara (Karol Pluszczewicz), który w swoim zimnym, ultranowoczesnym domu najlepiej czuje się, siedząc w fotelu przed ścianą pełną ekranów monitoringu. Jego żona Zobeida (Michalina Drozdowska) czasem jeszcze kusi go i rozpala, częściej jednak nudzi i irytuje oraz wzbudza podejrzenia podsycane przez nadmierną zazdrość Szahrijara. Kobieta jest nieszczęśliwa w tym związku, zwłaszcza gdy jest pozostawiana sama sobie, albo też zbyt natarczywie obserwowana. Gdy pewne granice zostaną przekroczone, Zobeida nie zawaha się poszukać odrobiny ciepła i miłości w objęciach jednego ze służących (Sebastian Simic), którzy na co dzień dbają o porządek w rezydencji Szahrijara. Żona, kochanek i zazdrosny mąż – wydawałoby się nic banalniejszego i zarazem bardziej tożsamego z pierwotnym librettem *Szeherazady*, a jednak finał wstrząsa i nie ma w sobie nic banalnego.

Również *Medeę* Bondara potraktował w sposób odmienny od stereotypowego odczytania mitu o małżonce Jazon, która, porzucona przez męża, mści się okrutnie, zabijając ich dzieci. Starożytni nie mogli zrozumieć i choćby w minimalnym stopniu rozgrzeszyć postępek Medei (ponownie Michalina Drozdowska). Przypisywali jej konszachty ze złymi mocami, widzieli w niej czarodziejkę i kapłankę podziemnych sił. Wydaje się, że w swoim uniwersalnym spektaklu (piaskowe kostiumy i scenografia nawiązują do ciepłego kolorytu śródziemnomorskiego, ale są proste i współczesne, akcja rozgrywa się więc wszędzie i nigdzie) Robert Bondara bardziej skupia się na motywacji i wewnętrznych przeżyciach bohaterki, wskazując, jak wielką krzywdę robi jej, z premedytacją, ukochany dotąd mężczyzna. Także Jazon (Sebastian Simic) nie jest wolny od rozterek, ale finał pozostaje ten sam – tragiczny. W *Medei*, podobnie jak w *Szeherazadzie*, gdzie Bondara wykorzystał ścianę ekranów, scenografia jest bardzo interesująca. Na tylnej ścianie sceny znajduje się lustro weneckie, w którym ukazują się postaci śledzące bieg wypadków lub odbijają się bohaterowie dramatu. Dużą rolę odgrywa także po mistrzowsku ogrywany i uruchamiany... dywan.

Jak już wspomniałam, baletowi Opery Śląskiej w Bytomiu nie stawiano ostatnio zbyt ambitnych wyzwań, teraz jednak, w odświeżonym składzie, doskonale poradził sobie z wymagającymi, także pod względem interpretacyjnym, choreografiami Roberta Bondary. Wszyscy soliści nie tylko podołali zadaniom z dużą swobodą, ale i stworzyli dobrze naszkicowane postaci. Michalina Drozdowska zasłużyła na gratulacje, bo wykonała dwie duże role, na których opierały się oba balety. Wyrazowo odrobinę lepsza była jako Zobeida, bo, jak można sądzić, młodej artystce łatwiej było się

odnaleźć w roli młodej, choć rozczarowanej w miłości kobiety niż dojrzałej mężatki kipiącej rządzą zemsty i mordującej najpierw rywalkę (Kreuzę – Wioletę Haszczyć), a potem własne dzieci. Skoki, wysokie pozy, odnoszenia, obroty w powietrzu i ślizgi czubkami point po podłodze wykonała bardzo pięknie, w każdym momencie pozostając w roli, stronę techniczną mając przy tym opanowaną niemal perfekcyjnie. Obaj panowie byli precyzyjni, a jednocześnie pełni dramatyzmu w odegranych i odtńczonych rolach. Trzeba pochwalić zespół, który zarówno prezentował świetne zgranie w momentach synchronicznych, jak i dobrze wypadł w indywidualnych działaniach, gdy miał stworzyć mikroszenki wzajemnych zalotów. Męska część zespołu dodatkowo wykazała się i zgraniem, i siłą (rewelacyjne jednocześnie skoki), gdy stała się zwielokrotnionym alter ego Szahrijara, a w *Medei* wykonywała choreografię w kanonie.

Wieczór baletowy Opery Śląskiej doskonale połączył nowoczesność formy z czytelnością przekazu, estetykę, a nawet urodę rozwiązań scenograficznych z prostotą i funkcjonalnością, a sam taniec ukazał jako język do opowiadania o ludzkich emocjach, również tych trudnych i granicznych. Można sądzić, że bytomska publiczność stęskniona za baletem nie rozczerowała się tym spektaklem i będzie motywować dyrekcję do podejmowania kolejnych tak interesujących wyborów artystycznych, bo zaproszenie do współpracy Roberta Bondary okazało się prawdziwym sukcesem.

Marek Brzeźniak \ Zdziwienie pierwsze. Z doświadczenia wiem, że w programie złożonym z kilku utworów, zwłaszcza, gdy reprezentują klasykę i współczesność, na finał daje się rzecz bardziej atrakcyjną, aby widzowie lub słuchacze za wcześniej nie uciekli. W tym pojedynku zdecydowanie częściej wygrywa klasyka. A cóż dopiero, gdy do boju stają: wystawiony po raz pierwszy w 1946 roku w Nowym Jorku balet *Medea* skomponowany dla Marthy Graham przez Samuela Barbera oraz jeden z najsławniejszych przebojów, *Szeherazada* Nikołaja Rimskiego-Korsakowa. Tym razem zaś było na odwrót. I drugie zdziwienie. Czytelnikom „Ruchu Muzycznego” nie trzeba wyjaśniać, jak ważna w *Szeherazadzie* jest rola koncertmistrza pierwszych skrzypiec, który gra też liczne partie solowe. Pamiętam z lat osiemdziesiątych, że ówczesny dyrektor NOSPR Marian Wallek-Walewski kłopotał się, skąd ściągnąć skrzypka do *Szeherazady*. Teraz, gdy po bytomskim dyptyku zapytałem dyrektora Opery Śląskiej: „Skąd wzięliście skrzypaczkę?”, w odpowiedzi usłyszałem: „Z drugiego pulpitu”. Grała Weronika Sidorska, jeszcze studentka, która pierwsze spektakle *Szeherazady* ząbębiała z obroną dyplomu w katowickiej Akademii Muzycznej.

Porządek premiery całkiem dobrze się sprawdził. Może dlatego, że realizatorzy odstąpili od zderzenia dwóch całkowicie różnych światów. Choreograf Robert Bondara i autorka scenografii Martyna Kander utrzymali oba utwory w tej samej konwencji, jak najbardziej współczesnej, zarówno jeśli chodzi o plastykę, jak i ruch sceniczny. W tej sytuacji zakończenie współczesnych wizji współczesną muzyką okazało się pomysłem dobrym i celowym. I jeśli Jazon nie jest w greckiej tunice lecz w marynarce, przyjąłem to, przy podparciu współczesnej muzyki, z całkowitym zrozumieniem. W przypadku orientalnej czy orientalno-słowiańskiej muzyki *Szeherazady* Rimskiego-Korsakowa, umiejscowienia akcji we wnętrzu nowoczesnego, skomputeryzowanego biurowca moje wewnętrzne poczucie estetyki nie potrafiło przyjąć. Lojalnie dodam,





że innym odbiorcom się to podobało. Z prapremierowej, paryskiej choreografii Michaiła Fokina z 1910 roku, pozostały imiona postaci – Zobeida i Szahrijar. Miłość, pożądanie, nienawiść i zazdrość da się wszakże umiejscowić wszędzie, czy to w haremie, czy w supermarkecie, czy w pomieszczeniu biurowym. Co do akcji *Medei* jedynie przeniesiono ją w czasy dzisiejsze, ale dochowano wierności mitologii.

Dwa lata temu bytomska opera weszła w nowe tory. W kwietniowym numerze miesięcznika „Śląsk” Magdalena Dziadek, omawiając niedawno wydaną książkę Alana Misiewicza *Heroiny* – zbiór czternastu rozmów z ludźmi związanymi z Operą Śląską – zauważyła, że „z niejednej strony wieje smutkiem, tęsknotą za dawniejszymi czasami, za tym co już tylko «było»”. Związany z tą placówką od wczesnego dzieciństwa jako wnuk muzyka, pamiętający występy na tej scenie Bogdana Paprockiego i Andrzeja Hiolskiego, jeszcze zanim przenieśli się do Warszawy (prawda, że często i chętnie wracali i to nie tylko z jubileuszowych okazji), też nieraz miałbym ochotę zapłakać za Villonem „Ach, gdzie są niegdysiejsze śniegi”. Jak się wydaje, dyrekturującego w Operze Śląskiej od dwóch sezonów Łukasza Goika, który wcześniej przepracował tu w pionie administracyjnym czternaście lat, epidemia ta na szczęście go ominęła.

Postawił na młodość. Realizatorów, wykonawców i repertuaru. Nie tyle chodzi o nowe utwory, ile sięganie po dzieła dotąd nieobecne na tej scenie. Do wymienionych już nazwisk choreografa i scenografki dodajmy dyrygenta obu baletów Macieja Tomasiewicza, który znakomicie poprowadził orkiestrę. Ubiegłoroczną premierę *Romea i Julii* Gounoda, opery po raz pierwszy wystawionej na Śląsku, przygotowali reżyser Michał Znaniecki, scenograf Luigi Scoglio i dyrygent pochodzenia libańskiego Bassem Akiki, pełniący w Bytomiu obowiązki dyrektora do spraw artystycznych. Zaraz po tej premierze najmłodszy widzowie mieli okazję obejrzeć *Małego kominiarczyka* Benjamin Brittena, zrealizowanego przez inną ekipę nowo pozyskanych artystów. A w czerwcu odbyła się premiera kolejnej, nieznanej dotąd bytomianom opery – *Rzekomej ogrodniczki* Mozarta (w koprodukcji z katowicką Akademią Muzyczną). A przygotowali ją reżyser André Heller-Lopes i scenograf Renato Theobaldo. Co nazwisko, to nowość w Bytomiu. I chyba dobrze. Jak na razie się sprawdza.

**Postawił
na młodość.
Realizatorów,
wykonawców
i repertuaru.
Nie tyle chodzi
o nowe utwory, co
sięganie po dzieła
dotąd nieobecne
na tej scenie.**